



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Janusz Kazimierz Krogulski

Życie na kresach

Urodziłem się 27 grudnia 1932 roku w Kołomyi, najdalej wysuniętym na południowy wschód miasteczku powiatowym, będącym bastionem polskości w tym rejonie ukraińsko-huculskim. Rozdzieliłem te dwie grupy ludności, ponieważ Huculi nie zawsze czuli się Ukraińcami, ale o tym lepiej i bardziej naukowo wypowiedzą się etnografowie.

W tych latach, gdy większość porodów odbywała się w domu i oseskom nie przywiązywano do ręki karteczki z godziną i dniem przyjścia na świat, ojciec mój działając w moim interesie, przy ceremonii chrztu podał proboszczowi (bo tylko tam rejestrowano urodzenia) datę 1 stycznia 1933 roku. Dzięki temu już w tym momencie byłem młodszy o rok, później poszedłem do szkoły, później do wojska i do dzisiaj czuję się młodszy i nie tylko o rok.

Moja rodzina w tamtym momencie składała się z rodziców oraz dwóch braci starszych o trzy i cztery lata. Ich imiona – Leonard i Bogdan – były tworem wyobraźni ojca, a ja jako ostatnie dziecko, które miało być dziewczynką, otrzymałem imię od matki. Ojciec mój pochodził ze zubożałej szlachty zaściankowej rozsianej po wioskach ukraińskich. Miał trzech braci i dwie siostry.

Dziadka ze strony ojca nie pamiętam. Mam jedynie w oczach poźółkle zdjęcie dobrze zbudowanego mężczyzny w mundurze z szablą przy boku i krzaczastym, długim wąsem, przechowywane wśród pamiątek rodzinnych zagubionych w zawierusze wojennej.

Babcia pamiętana oczami dziecka, to szczupła, czerstwa kobieta, prowadząca gospodarstwo rolne (kilka hektarów) w ukraińskiej wiosce zwanej Kamienną, znajdującej się w pobliżu Kołomyi. Dom ten pamiętam od pierwszych lat wojny, bo tam często zabierał mnie ojciec w każdą wolną chwilę. Razem z babką gospodarstwo prowadziły (do chwili zamążpójścia) dwie młodsze siostry ojca. Bracia natomiast wcześniej opuścili rodzinne gniazdo. Szukali dla siebie lepszych możliwości w nowym Państwie Polskim.

W latach zawieruchy I wojny światowej ojciec (rocznik 1898) został zesłany w głąb Rosji, jak nam opowiadał za posiadanie w rejonie ówczesnego frontu lusterka, którym podobno miał przekazywać znaki wrogowi. Po zakończeniu działań wojennych wrócił do odzyskanej Polski i aktywnie włączył się w tworzenie nowego ładu państwowego. Uważając zdobycie niezbędnego wykształcenia za swój patriotyczny obowiązek, udał się do Warszawy i podjął studia w Wyższej Szkole Handlowej. Po ich ukończeniu zamieszkał w Kołomyi i otrzymał posadę w Banku Gospodarstwa Krajowego. Pozwoliło mu to obracać się w środowisku szlachecko-mieszczańskim i poznać moją matkę, której rodzina była wysoko ustawiona w miejscowej hierarchii społecznej, bo dziadek (krzepkiej budowy o postawie Zagłoby z sumiastym wąsem) był sędzią grodzkim w Kołomyi, a następnie w Obertynie. Babka ze

strony matki – z domu szlacheckiego w Krakowie – była panią domu i zajmowała się wychowywaniem dzieci, a następnie wnuków.

Ojciec mój z wielkim zaangażowaniem zajmował się pracą społeczną w Czarnohorskim Oddziale Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, gdzie piastował funkcję sekretarza okręgu. Należał do tych, którzy udostępniali piękne Karpaty Wschodnie turystyce, znakując trasy i propagując te tereny. Był również zapalonym fotografem-amatorem, zbierającym wiele nagród na licznych wystawach. Równocześnie mnóstwo czasu poświęcał doskonaleniu swoich zainteresowań lingwistycznych, co okazało się bardzo przydatnym hobby w latach wojny i po jej zakończeniu. Pracując w bankowości posiadał egzaminy państwowe z pięciu języków, co wyraźnie dało się zauważyć w pobieranej pensji.

Rodzinne miasto, dzięki ojcu – turyście, pamiętam jako miejscowość położoną w dolinie Prutu, górskiej rzeki, bardzo kapryśnej i często wylewającej wiosną. Liczne dalsze wycieczki pozwoliły mi zapoznać się również z przepięknymi Karpatami Wschodnimi.

Najwcześniejsze moje wspomnienia dziecięce wiążą się z przestrzennym mieszkaniem w nowoczesnej willi przy ulicy Grottgera 44, gdzie zajmowaliśmy parter (pięć pokoi, łazienka, przestrzenna kuchnia, weranda i zabudowania gospodarcze – tzw. drewnutnia), a także z rozległym sadem owocowym, który był dla nas indiańskim terenem łowieckim, a później – w czasie działań wojennych – jedynym żywicielem. Piętro willi zajmowali gospodarze, to znaczy rodzina żydowska, której całkowicie nie pamiętam, bo znikli z mego pola widzenia już w pierwszych dniach działań wojennych w 1939 roku.

W pobliżu znajdował się zamknięty już wtedy cmentarz żydowski, na który tylko my, tzn. grupa wyrostków, mieliśmy wstęp, pokonując niezbyt wysoki mur i urządzając sobie tam tereny zabaw. Tam też w pierwszych dniach wojny znajdowaliśmy części umundurowania i uzbrojenia Wojska Polskiego, które przerzucały przez mur opuszczające Kołomyję oddziały.

W tym okresie nasze miasto okazało się bardzo ważnym strategicznym punktem, bo przez kilka dni przebywał tam polski rząd zanim przeprowił się przez Dniestr w Zaleszczykach. Jak dziś pamiętam kawalkadę czarnych limuzyn rządowych, przejeżdżającą przez Obertyn, w którym przebywałem u dziadka (Franciszek Kowalski, sędzia grodzki) i udających się w stronę Zaleszczyk. Nieco wcześniej, bo 1 września 1939 roku, ubrany w granatowy mundurk zostałem zaprowadzony do elitarniej szkoły podstawowej, prowadzonej przez siostry zakonne Urszulanki w Kołomyi, ale po kilku dniach naukę zawieszono, a ja zostałem wysłany do dziadka.

W Kołomyi oczyma dziecka oglądałem pierwsze wojenne obrazy, to znaczy transporty uchodźców ze Śląska, pierwsze potyczki polskich pilotów z niemieckimi samolotami, wkroczenie wojsk radzieckich i ich buńczuczna defiladę, w trakcie której kilkakrotnie obchodzili miasto, by zaimponować swoją liczebnością. Po wkroczeniu Armii Czerwonej dokwaterowano do naszego mieszkania rodzinę oficera NKWD, która zajęła dwa najładniejsze pokoje wraz z werandą. W tym czasie zaczęły się aresztowania polskiej inteligencji i wywózki na Sybir. W jednym z pierwszych transportów znalazł się również mój dziadek, a razem z nim cioteczny brat (Stanisław Doliński) i ciocia-babcia Maria Skibska, która w tym okresie prowadziła dom dziadka. Na przygotowanie do wyjazdu dano im dwie godziny, a transport skierowano do rejonu Semipalatyńska (południowa Syberia). Niestety na miejsce dotarli jedynie ciocia-babcia i cioteczny brat. Przejazd transportu przez tereny Związku Radzieckiego trwał kilka tygodni, a pociąg często obrzucany był kamieniami przez grupy rosyjskich nacjonalistów. Dziadek zmarł, ugodzony w głowę jednym z tych kamieni. Po powrocie z Syberii ciocia-babcia przywiozła jedynie lniany woreczek z ziemią z jego grobu.

Po ustabilizowaniu się życia w Kołomyi, po wydłużonych wakacjach, rozpoczęła pracę polska szkoła podstawowa, ale już w innym miejscu, w walącym się budynku parterowym. Ja znalazłem się w klasie „o”, bo władze radzieckie stwierdziły, że poziom nauczania odbiega od przyjętego w Związku Radzieckim. W związku z tym cofnięto nas do klasy „o”. Do dziś przechowuję świadectwo jej ukończenia.

W okresie działań wojennych pomiędzy Sowietami i Niemcami rodzina moja znowu wysłała mnie na wieś, tym razem do Kamiennej, gdzie przebywały dwie siostry ojca. Jedna wyszła za mąż za mazurskiego rolnika. Druga była żoną policjanta, aresztowanego przez NKWD w 1939 roku. Zginął w nieznanymi okolicznościach (imienia nie pamiętam, nazwisko Juni).

W Kamiennej widziałem wkraczające oddziały węgierskie, współpracujące z wojskiem niemieckim. Oglądałem, jak entuzjastycznie witane były przez ludność ukraińską, wierzącą w propagandę hitlerowską o utworzeniu niezawisłej Ukrainy. Tam też zetknąłem się po raz pierwszy z nowym prawem wojennym, które później nazwano „szabrem”. A było to tak. W pobliżu Kamiennej uciekające oddziały radzieckie pozostawiły na boczniczy kolejowej kilka wagonów towarowych, które okoliczna ludność rozbiła, a zawartość rozszabrowała. Przez następne lata okupacji po całej naszej rodzinie szły z kolorowego perkalu koszulki i zasłonki, a zapas cukru starczył na kilka miesięcy.

W sytuacji narastającej wrogości ukraińskiej do polskich osadników ciotki zmuszone były przenieść się z Kamiennej do osiedla mazurskiego, mieszczącego się kilka kilometrów dalej. Przy tej okazji wysłano mnie z powrotem do Kołomyi. Tu razem z braćmi zacząłem – w ramach naszych możliwości –

pomagać rodzinie w tych bardzo trudnych, pierwszych latach okupacji. Pamiętam kilkunastokilometrową wędrówkę z moją mamą i ukraińską dziewczyną, pełniącą rolę pomocy domowej, do jej rodzinnej miejscowości, aby zamienić część ubrań, naczyń, sztućców na ziemniaki i mąkę. Codziennym naszym zajęciem było łowienie w pobliskim stawie cegielnianym ryb, to znaczy kilkucentymetrowych płotek, z których matka robiła rybną zupę. Zrywaliśmy też liście pokrzywy na sałatkę i pielęnowaliśmy sadzonki jarzyn, które zamieniały kwiaty na klombach w tereny uprawne. Zimą natomiast udawaliśmy się z braćmi na dworzec kolejowy i na sankach odwoziliśmy podróznym bagaże, zarabiając grosze na słodycze.

Do dziś jestem pełen podziwu dla odporności psychicznej mojej matki, która – przyzwyczajona do przedwojennego stylu życia – nagle znalazła się w tak krytycznych okolicznościach (z początku jeszcze przy boku ojca, a później sama). W pierwszych miesiącach okupacji hitlerowskiej ojciec, znający język niemiecki, otrzymał zatrudnienie jako tłumacz w więzieniu w Kołomyi, gdzie przeważnie w tym okresie przebywali aresztowani Żydzi. Mając swobodny dostęp do aresztantów, starał się pomagać im w ramach swoich możliwości, lecz ta działalność nie dała się zbyt długo ukryć. Aresztowano go i zamknięto w tym samym więzieniu. Równocześnie na polecenie oficera gestapo musieliśmy natychmiast opuścić zajmowane mieszkanie. W tej sytuacji matka wysłała braci do Rawy Ruskiej, gdzie przebywała jej siostra z mężem, a sama ze mną pozostała w Kołomyi, rozpoczynając szaleńcze starania o uwolnienie ojca. Starania te powiodły się, bo w końcu wyszedł z więzienia i natychmiast razem ze mną opuścił Kołomyję i przedostał się do Lwowa. W tym czasie ostami raz widziałem moją rodzinną miejscowość.

W krótkim czasie ojciec zdobył mieszkanie w centrum Lwowa (ulica Szaszkiewiczza, potem Odeon) u zbiegu ulic Sykstuskiej i Leona Sapiehy, w pobliżu kościoła Marii Magdaleny i więzienia Łąckiego. Tam stopniowo zjechała się cała rodzina, to znaczy bracia, matka, siostra matki (Wanda Jezioro, żyjąca w separacji z mężem, lekarzem lwowskiego szpitala) oraz jej kilkuletni syn.

Przed wyjazdem do Lwowa ostatnie lato spędziłem u rodziny koło Kamiennej, gdzie pomagałem przy żniwach i innych pracach domowych. Tam też po raz pierwszy zetknąłem się z brutalną działalnością oddziałów banderowców, które zaczęły systematycznie niszczyć ludność pochodzenia polskiego. Gdy spałem w stodole razem z pasącymi krowy wyrostkami, do części mieszkalnej zaczęli dobijać się mężczyźni w mundurach niemieckich i polecili wujkowi (Jan Pszeniczny) udać się z nimi. Ciotka będąc przekonana, że chodzi o aresztowanie, wyposażyła męża w osobiste rzeczy i żywność. Po zabranii wujka grupa ta udała się do jego szwagra, postępując w ten sam sposób, a następnie do trzebiego wpływowego Polaka. Ten był na tę ewentualność przygotowany i przez strych uciekł w zboże. Dwóch zaprowadzono do lasu, gdzie był już grób wykopany. Gdy znęcano się nad szwagrem, wujkowi udało się zbiec przez zboże do najbliższych osiedli mazurskich. Banderowcy, bo oni to właśnie byli w mundurach niemieckich, zaczęli strzelać, lecz na szczęście mieli tylko dubeltówki i wujek otrzymał zaledwie kilka śrutów w plecy. Gdy dotarł do pierwszych zabudowań udzielono mu pomocy i przewieziono go do Nadwornej, gdzie był szpital i garnizon niemiecki. W takich miastach banderowcy nie byli odważni. Na drugi dzień odkopano ciało szwagra wujka i wtedy po raz pierwszy widziałem zmasakrowane zwłoki ludzkie.

Po tym incydencie mnie wysłano do Kołomyi, a polskie rodziny w tym osiedlu za cichą zgodą władz niemieckich uzbroiły się w broń palną w obawie przed dalszymi napadami. W kilka tygodni później grupa operacyjna garnizonu niemieckiego przybyła do Kamiennej, gdzie spaliła kilka zabudowań w odwet za splamienie munduru niemieckiego.

We Lwowie dla mnie, 11-letniego chłopca wychowanego w prowincjonalnym miasteczku i na wsi, rozpoczęła się wielka przygoda. Szybko poznałem wielkomiejskie środowisko. Czasu było dużo (bo zajęcia szkolne były tylko dwa razy w tygodniu po kilka godzin w jakimś zniszczonym sklepie), więc całe dnie spędzałem na ulicy lub na placu Krakowskim (tzw. „Krakusach”), gdzie zacząłem handlować papierosami zdobywając w ten sposób pieniądze na cukierki. Ojciec otrzymał pracę w urzędzie, matka prowadziła dom i walczyła o każdą kromkę chleba, a bracia chodzili do szkoły i pracowali.

Jako przedwojenny oficer rezerwy ojciec pozyskany został do współpracy z AK, a bracia działali w podziemnym harcerstwie organizując różne akcje dywersyjne, na które czasem zabierali mnie. Jedną z nich pamiętam. Było to już w końcowych latach okupacji, gdy Lwów systematycznie bombardowało lotnictwo sowieckie, dokonujące nalotów co czwartek o godz. 18.00. Motorniczowie tramwajów pozostawiali wozy w tym miejscu, w którym zastał ich alarm, a sami uciekali do schronów. Pojazdy stały tam tak długo, aż naprawiono przewody i tory, które często były uszkodzone. Naszym zadaniem (dwaj bracia i ja) było wykręcanie żarówek z tych tramwajów i dostarczanie do dowództwa, które sprzedawało je na wolnym rynku, pieniądze przekazując na zakup broni. W tej akcji pełniłem rolę magazyniera, bo posiadałem letni płaszcz z podszewką, lecz bez kieszeni. W podszewce przez cały pobyt we Lwowie nosiłem „bibułę” od państwa Łobarzewskich do domu, a następnie do doktora Draka. To był właśnie ten mój magazyn.

Na „Krakusach”, które z czasem stały się moim drugim domem, przeżywałem grozę okupacji w licznych łapankach, organizowanych przez władze niemieckie. Hitlerowcy wiedzieli, że było to

centrum między innymi handlu bronią i amunicją. Można tam było kupić prawie wszystko, począwszy od kamyczków do zapalniczki, przez sacharynę, po granaty i automaty włącznie.

Z początku sam robiłem papierosy. Kupowałem gilzy, a tytoń uzyskiwałem z niedopalków. W ten sposób „produkowałem” nowe papierosy. Gdy okrzeplem finansowo, rozpocząłem handel hurtowy. Odkupywałem papierosy od żołnierzy niemieckich wracających z Węgier („Lewenty” i „Hungary”) i sprzedawałem na sztuki. Tak zarabiałem na słodycze i na kino. W późniejszym okresie filmy oglądałem bezpłatnie, bo udało się nam znaleźć boczne wejście na balkonik przeznaczony dla profesorów Konserwatorium Ukraińskiego. W podobny sposób oglądałem pierwsze w życiu spektakle teatralne i operowe w Operze Lwowskiej. W zespole orkiestry grał znajomy, od którego prznosiłem bibułę. Zapraszał mnie i braci do pomieszczeń dla orkiestry, skąd – stojąc na taboretach – oglądaliśmy przedstawienie przewidziane oficjalnie tylko dla Niemców lub Ukraińców. Od tego znajomego dowiedzieliśmy się o nieudanym zamachu na generała Franka, zorganizowanym w gmachu Opery. Frank miał być na przedstawieniu, lecz z niewiadomych przyczyn jego przyjazd uległ opóźnieniu. Orkiestra miała akurat próbę, gdy eksplodował ładunek wybuchowy, podłożony pod balkonem. Gruz częściowo zasypał muzyków powodując lekkie obrażenia. Po tym wydarzeniu w następnych dniach gestapo szalało po całym Lwowie.

W czasie łapanek na „Krakusach” Niemcy często polowali na przedwojenne buty z cholewami, tzw. „angliki”. Właścicielom kazali je zdejmować, dając w zamian drewniaki. Motyw ten momentalnie podchwyciła lwowska ulica, lansując przebój sezonu, który brzmiał:

*Moja ciocia ma angliki
Ze spalonej Schuh fabryki,
Na Krakusach powiadali,
Że angliki odbierali.
Mojej cioci odebrali
I drewniaki za to dali.
Moja ciocia ma ich w dupi
Ona sobie nowe kupi.*

Było to śpiewane na każdej ulicy przez cały sezon, a Niemcy dostawali białej gorączki słysząc tę melodię.

W okresie nasilenia działań band banderowców do Lwowa zaczęły ściągać polskie rodziny z prowincjonalnych miasteczek i wsi. Tam też znalazł się mój wujek, ten z Kamiennej, który od razu włączył się w podziemną walkę AK. W tym czasie ciotka i wujek mieszkający obok Rawy Ruskiej we wsi ukraińskiej, gdzie pracowali jako nauczyciele, zostali napadnięci przez członków bandytów i tylko błyskawiczna ucieczka na strych budynku uratowała im życie. Natomiast moja babka, która w tym czasie przebywała u nich, pod wrażeniem tych przeżyć dostała ataku serca i po kilku dniach zmarła. Po jej pogrzebie cała ta rodzina przeniosła się do Przemyśla, a wujek po zakończeniu działań wojennych, jako starszy oficer wojskowy, na stałe osiedlił się w Warszawie.

We Lwowie również wzmogły się starcia pomiędzy oddziałami UPA i AK. Niemcy starali się tego nie zauważać, licząc na to, że wrogie ugrupowania same się zlikwidują bez ich interwencji. O tych wydarzeniach mieliśmy bezpośrednie relacje od wujka-lekarza, pracującego w szpitalach lwowskich, który operował niejednokrotnie poszkodowanych w takich starciach.

W chwilach wolnych od handlu brałem udział w burzliwym życiu grupy lwowskich baciarów, która prowadziła regularną wojnę na kije i kamienie z podobną grupą młodzieży ukraińskiej. Były to normalne bitwy, z których nieraz wracałem z rozbitą głową. Najczęściej terenem tych walk był obszar kościoła Marii Magdaleny i Park Kościuszki. Grupa nasza miała również poważniejsze zadania, polegające na dostarczaniu korespondencji od osób uwięzionych w więzieniu Łąckiego ich rodzinom, całymi dniami okupującym skwer przed kościołem. Za skwerem można było swobodnie obserwować budynek więzienny. Gmach usytuowany był przy ulicy Leona Sapiehy, stanowiącej teren naszych zabaw. Okna więzienne zabezpieczono drewnianymi zasłonami, spoza których aresztowani przerculali czasem informacje dla swoich bliskich (na kartce przywiązanej do kawałka muru). Korespondencja ta trafiała niekiedy na drugą stronę ulicy, gdzie znajdowały się posterunki żandarmerii niemieckiej. Tu zaczynała się nasza rola. Polegała ona na tym, aby dostać się w wyznaczone miejsce i zdobyć kartkę. Pomysłów było wiele. Najczęściej udawaliśmy się na sąsiedni przystanek tramwajowy, siadaliśmy na zderzaku (tak często jeździły urwisy lwowskie) i zeskakując w odpowiednim miejscu przechwytywaliśmy informację. Następnie dostarczaliśmy ją kobietom oczekującym na skwerku (bo najczęściej były to kobiety). Za to otrzymywaliśmy słodycze i wdzięczność. W murach tego więzienia w czasie walk o Lwów znaleziono wiele ciał zamordowanych więźniów.

Podczas walk o Lwów, które trwały prawie tydzień, wzmogła się działalność oddziałów Armii Krajowej. Gdy ustały nieco działania wojenne, w rejonie mojego zamieszkania z grupą rówieśników wyszedłem na miasto, żeby spenetrować ponemieckie urzędy i wyszabrować co się da. Wtedy byłem

naocznym świadkiem akcji polskiego patrolu, który wychodząc zza rogu ulicy Sykstuskiej zatrzymał trzech mężczyzn idących przed nami. Po wylegitymowaniu okazało się, że jeden z nich posiadał broń i dokumenty ukraińskie. Tego mężczyznę dowódca patrolu rozkazał rozstrzelać, co wykonano natychmiast. Zwłoki trzymano przez jakiś czas w sąsiedniej bramie (bo tam mieszkał), a następnie pochowano go na skwerze obok kościoła. Po zakończeniu działań wojennych władze sowieckie, szukając prawdopodobnie pretekstu do wprowadzenia restrykcji przeciwko AK, stwierdziły, że zabitym był szef wywiadu radzieckiego na teren całego rejonu. Po ekshumacji urządziły mu wspaniały pogrzeb, a jego pomnik do dzisiaj widnieje na tym skwerze. Od tego momentu zaczęły się masowe aresztowania wśród działaczy AK i znikły z okien polskie sztandary.

Gdy życie w mieście ustabilizowało się, zacząłem uczęszczać do 5 klasy szkoły z językiem wykładowym rosyjskim. Świadectwo ukończenia, które do dziś przechowuję, było w wersji dwujęzycznej, to znaczy z jednej strony po polsku, a z drugiej po rosyjsku.

W tym samym czasie nasza grupa wyrostków, szukając aktywnego zajęcia, zaczęła agresywne działania wobec młodzieży rosyjskiej, która wraz z rodzinami masowo napływała do Lwowa. Młodzież ukraińska starała się nie narażać władzy radzieckiej, obawiając się ostrych sankcji. Z kolei ukraińska inteligencja przewidywała, że Rosjanie pozbędą się Polaków wysyłając ich transportem na zachód, a następnie ześlą Ukraińców na wschód. I to się sprawdziło!

W dniu 8 maja 1945 roku, w godzinach wieczornych, zostaliśmy obudzeni kanonadą broni palnej. Pod naszym oknem, wychodzącym na ulicę Szaszkiewicza, z karabinu maszynowego ustawionego na samochodowej platformie, żołnierz sowiecki kierował w niebo całe serie amunicji. W ten sposób czerwonoarmieści zareagowali na informację o zakończeniu działań wojennych. Gdy wyszliśmy z braćmi na dach kamienicy, zobaczyliśmy cały Lwów w tysiącach świetlnych pocisków i rakiet. Rano po całym mieście chodziło się po warstwie łusek.

W tym czasie nasiliła się agitacja zmuszania Polaków do opuszczenia Lwowa. Obiecywano lepsze życie na Ziemiach Zachodnich. Nie wierząc w trwałość postanowień jałtańskich zwlekaliśmy z wyjazdem aż do momentu, gdy postawiono nas w sytuacji: „albo wyjeżdżacie albo przyjmujecie obywatelstwo radzieckie”. Wobec takiej alternatywy w listopadzie 1945 roku transportem „nauczycielskim”, który był jednym z ostatnich, opuściliśmy Lwów. Mieliśmy do dyspozycji pół wagonu towarowego dla całej rodziny. Pozostawiliśmy dobrze umeblowane, czteropokojowe mieszkanie, za które podobno ojciec otrzymał jakieś grosze od oficerskiej rodziny sowieckiej wprowadzającej się na nasze miejsce.

Po dwutygodniowej podróży transport nasz, którego rozwiązanie miało nastąpić w Bytomiu, zatrzymał się w Katowicach. Ojciec postanowił tu zostać, obawiał się bowiem zmian terytorialnych. Z braku jakichkolwiek możliwości lokalowych, bo wszystkie mieszkania niemieckie były już zajęte przez poprzednie transporty, przez kilka tygodni koczowaliśmy na korytarzu szkoły podstawowej nr 22 w Katowicach – Załężu. Ojciec jako fachowiec otrzymał pracę w Banku Gospodarstwa Krajowego, a bracia i ja rozpoczęliśmy naukę w szkołach katowickich. Po kilku miesiącach, dzięki staraniom ojca, otrzymaliśmy lokum przy ulicy Mariackiej, w ciemnej, wilgotnej suterenie. Tutaj po powrocie z Syberii mieszkała z nami ciocia-babcia. Chyba to był rok 1946. Mój cioteczny brat po powrocie z Kazachstanu okazał się całkiem zdziwały i dużo poświęciliśmy pracy wychowawczej, by przywrócić go społeczeństwu. W 1948 roku otrzymaliśmy nowe mieszkanie w Ligocie, gdzie nareszcie mogliśmy rozpocząć normalne życie.